Panu Adamowi Bełcikowskiemu
w dowód szacunku od autorki

WIEJSKA RODZINA.

NAPISANA

przez

Annę Liberę.

Oto chłop od Sandomierza
Znać go z pasa i kołnierza,
Zawitaj kochany bracie,
Miło mi spoglądać na cię.
Kazimierz Brodziński.

Oto chłop z krakowskiéj ziemi
Najdawniejszy między swemi,
On sam jeden w szczęściu, biedzie
Świętym wzorem wszystkim idzie.

KRAKÓW,
Drukiem Karola Budweisera.

1859.

WIEJSKA RODZINA.

NAPISANA

przez

Annę Liberę.

Oto chłop od Sandomierza
Znać go z pasa i kołnierza,
Zawitaj kochany bracie,
Miło mi spoglądać na cię.
Kazimierz Brodziński.

Oto chłop z krakowskiéj ziemi
Najdawniejszy między swemi,
On sam jeden w szczęściu, biedzie
Świętym wzorem wszystkim idzie.

KRAKÓW,
Drukiem Karola Budweisera.

1859.

Nad lasem czarna zawisła chmura,
I groźno wzrasta — i wnet jak góra,
Bo do niéj niby ptaki spłoszone,
Zkądś chmurki lecą szybko zjawione
O białych skrzydłach — błękitną drogą, —
Spiesząc się w locie jak tylko mogą.
Wnet owe chmurki, gdy już zdążyły,
Pod płaszcz swéj matki wszystkie się skryły.

Słońce ostatniem jeszcze wejrzeniem
Spogląda w chmurę długiem promieniem
A takim bystrem i tak ognistem,
Że ją przenika swym wzrokiem czystym;
A ona w blaski złote, różowe
Mieni się, coraz podnosząc głowę.

Za wioską, w oknie samotnéj chatki
Stoi dziéweczka, ugląda matki,
To na dróżynę oczkami rzuci,
To w niebo spojrzy i twarz zasmuci,
Trwożąc się, że w téj rosnącéj chmurze,
Na niespodzianą zbiéra się burzę.
A jéj matunia w drodze nieboga,
Nad wszystko w świecie matunia droga,

Jéj skarb, jéj szczęście, zdrowie i życie;
Ona jéj wzajem najmilsze dziecię,
Piérwsza po Bogu rozkosz jedyna
W jéj wdowim stanie za męża, syna,
Za ojca, matkę, całą rodzinę,
Szczęście od Boga, — szczęście jedyne.

Już w domu wszystko pouprzątała,
Umełła ziarna, sitkiem przesiała,
I płótna sztukę zwinęła z blichu
I wydoiła krówkę po cichu,
Swą od cieliczki chowaną krowę,
Z którą miewała zawsze rozmowę,
Gdy jéj do żłobu jedzenie kładła
Lub do dojenia gdy z skopkiem siadła.
Próżno brzozulka swém czarném okiem
W oczy dziéwczęcia spogląda bokiem,
Próżno podnosząc szyję swą z lekka
Beczy i słówka dźwięcznego czeka
I psina, z którą zawsze igrała
I na wyścigi w pole biegała,
Doznawszy długiéj w izdebce nudy,
Wlokła się smutna do swojéj budy.
A ona stoi w okienku drżąca...
Już padł na ziemię promień miesiąca,
I chmura owa przed chwilą groźna
Tak jak statua stérczy przydrożna;
Niema w niéj blasku ani półcienia,
Bo ją już słońce nierozpromienia,
Tylko wiatr górny muska ją czasem,
Jakby powietrzną skałę nad lasem.

„Poznam matuni białe odzianie,
Wybiegnę z domu na jéj spotkanie....
Jeszcze daleko.... widzę ot wozy
Jadą — ot tam się bieleją brzozy,
Ot ptastwo zewsząd do gniazd nawraca....
Lecz gdzież się moja matka obraca?
Czy ją spotkała jaka przygoda,
Czy jéj się jaka zrobiła szkoda?
Może Walusia chorym zastała?
Wszak ona zawdy na czas wracała;
Jedno być musi albo też drugie,
Boć to trzy mile nie takie długie;
Tylko na wzgórki człek się dobierze,
To już Krakowa obaczy wieże;
I nazad droga to krótka taka,
Jakby się biegło na skrzydłach ptaka".

Coraz ją większy smutek nagina,
I nim miotana jak wątła trzcina...
We wszystkie myśli i uczuć strony
Jéj zwątlon cały umysł strapiony...
Uległa zatem ludzkiéj niemocy,
Wsparła się, a sen skléił jéj oczy....

Po małéj chwilce w pół rozmarzoną
Już ją tuliło matczyne łono,
Już łez perełki, co się błąkały,
Pocałowania matki ściérały.
Naraz gwar miły rozległ się wszędzie,
Aż się ozwały kurki na grzędzie,
Brzozulka bekła wesołym tonem,
I pies wbiegł raźno kręcąc ogonem.

„Czyście Walusia zdrowym widzieli,
Czyście mu dali, co z sobą wzięli,
Czy rad był — i czy pytał się o mnie —
Jak też wygląda — zawsze tak skromnie,
I tak nieśmiele jak by był obcym
A nie mym krewnym i młodym chłopcem?“

„Że jest poważny, to ani słowa,
Mina szlachecka — rozsądna mowa:
Kiedy co rzeknie to znać, że szczérze,
Bo każdém słówkiem za serce bierze.
Jak rad wszystkiemu — za wszystko wdzięczny,
Bez żadnéj dumy przy wszystkich grzeczny;
Nic się nie wstydzi méj wiejskiéj szaty,
A zawsze wzdycha do naszéj chaty.
Prawie ze szkoły szedł wraz z drugimi
Paniczykami postrojonymi;
Skoro mnie postrzegł, wnet ich odbieży,
A do mnie biednéj w wiejskiéj odzieży
Przyskoczy wesoł i rozpytuje,
Ściska jak matkę, w ręce całuje;
A kropla w kroplę jak ty Różyczko
Za jedną razą pyta o wszyćko:
Jak nam się wiedzie — czyś Różo zdrowa,
Jak się brzozulka i drób nasz chowa,
Czy się urodzaj znaczy na roli,
Czy nam nie zbywa na chlebie, soli,
Czy na książeczce czytujesz czasem,
Czy lubisz krówkę pasać pod lasem
Tam przy źródełku od wsi w oddali,
Gdzieście z maleńka razem pasali“?

Na to wspomnienie westchnęła Róża,
I wstyd jéj lica oblał jak zorza.
Lecz pyta daléj — a matka rzeknie:
„Ten chłopiec sobie poczyna pięknie;
Dość ja powiedzieć tego nie umiem,
Lecz kroki jego jasno rozumiem.
Ta mu pokora tak pięknie służy,
Wszystko mu przy niéj na dobre płuży,
Ona go wiedzie do szczęścia drogi,
Którą iść musi bogat, ubogi;
A niewiem czemu, kiedy się niży,
Ta go pochyłość postawia wyżéj?

Za każdym razem, gdy się z nim widzę,
Choć się dla niego wraz z tobą biédzę,
Dzieląc się wszystkiem co posiadamy,
I dając nadto, czego nie mamy, —
Grosz zaciągniony na tę chacinę,
By miał do nauk wolną godzinę
Bez uprzykrzonéj téj nędznéj doli,
Co czynić człeku nic nie pozwoli
Jedno ustawne narzuca troski,
Zkąd wziąść dla siebie chleb ten dar Boski —
Kiedy go widzę tak się rozczulę,
Że go chcąc-nie-chcąc do serca tulę,
I nie żałuję wtenczas niczego,
W czém się uszczuplam dla dobra jego:
Bo on jak anioł jaki niewinny
Coraz to mi się wydaje inny

Coraz śliczniejszy na duszy, ciele,
Tak mu nauka przydaje wiele.
Pomnę, kiedy to był jeszcze mały,
Jak koło szkółki biegał dzień cały,
Jak o kupienie książeczki prosił,
By ją jak starsze chłopczyki nosił;
I kupiłam mu — zaraz wesoły
Bez mojéj wiedzy uciekł do szkoły.
Jak inni biegli gdzie na swawole
On chodził skrycie uczyć się w szkole;
I długo ani śniło się komu,
Dokąd on zawsze wybiegał z domu.
Cóż — kiedy tęga chwyciła zima?
Nuż wtedy płakać, że bótków nie ma!
Nuż żebrać pięknie i do nóg padać
I swéj się szkolnéj winy spowiadać....
Tak mnie on żebrak skruszył malutki,
Żem mu nazajutrz kupiła bótki.
Choć ojciec jego służył we dworze
Cóż było robić, gdy żal się Boże
Ani o własne dziecko zapytał.
Matka, to była święta kobiéta
Ale wczas zmarła — toż po pogrzebie
Wraz tę siérotkę wzięłam do siebie,
I przytém krewnéj litością zdjęta,
Wzięłam, boć taka powinność święta.
W lat parę po tém ojca Kaźmiérza
Służba zagnała gdzieś do Paryża,
Bo to jak panom w domu się znudzi
Szukają obcych krajów i ludzi.
Jak ugrzązł z niemi tak i nie wrócił,
Jak gdyby kamień do wody wrzucił.

Nie widać było państwa, ni sługi....
A temu już czas upłynął długi,
Bez mała tyle ile ty dziécię
Wiosen już liczysz żyjąc na świecie.
Od dnia, jak sobie wzięłam Walusia,
Weselsza moja stała się dusza,
Bo gdy i ojciec twój pomarł wcześniéj,
I mnie też było coraz boleśniéj,
I tak tęskliwie, że wiele nocy
Sen mi nie przyszedł całkiem na oczy.
Dopiero Waluś, mając rok piąty,
Wszystkie mi w domu ożywił kąty:
Rozrywał myśli raźny chłopczyna,
Szczebiocąc zawsze kieby ptaszyna;
On ze mną w polu, ze mną przy misce....
On cię kolebał małą w kołysce
A późniéj starszą chętnie piastował
I — prawdę rzekłszy — on cię wychował,
Strugał zabawki, znosił kwiateczki,
A wszystko mówił: to dla Różyczki".

I jeszcze chwilkę matka gwarzyła,
Gdy Róża w sercu słodko marzyła,
Nie widząc w całym okręgu świata
Nad swą matunię, Walusia brata
Innego szczęścia, innéj istoty,
Innéj miłości, innéj pieszczoty....
Dla nich w ubóstwie żyć jéj tak miło,
Dla nich pracować całą swą siłą,
Ich świętém tchnieniem młodéj dziewicy
Czcić jawną cześcią, i w tajemnicy

Za niemi Stwórcę pobożnie błagać,
By jéj nie przyszło które z nich stradać;
By im się w każdéj szczęściło dobie,
Zapominając całkiem o sobie,
Jakby myśl, serce, jéj istność cała
Do niéj z jéj szczęściem nie należała.

* *
*

W pogodnym sierpniu, chłodek wiał miło,
I już kłóseczka w polu nie było,
Tylko się bawił po pustéj roli
Wietrzyk, co z słabszym łatwo swawoli,
Co nieraz, chwiejąc źdźbłami cienkiemi,
Lekkiém skrzydełkiem pchał je ku ziemi;
Choć dziś poigrać chciał z całéj duszy,
Twardego ściernia ani poruszy.
Gdzie niegdzie tylko ostróżką polną
Mógł zachwiać swoją żądzą swawolną,
Albo bławatka dotknąć bez wiedzy,
Co tam samotny został przy miedzy,
Jak czuły pomnik kwitnącéj niwy,
Gdzie miał bławatków braci szczęśliwy....
W porze spoczynku matki przyrody —
Ten dzionek sierpnia był jak maj młody,
To samo świéże, a nie gorące
Wiało powietrze, to samo słońce
W drogę swą dawną, którą chodziło,
Świécąc łagodniéj już się niżyło —
Ściészką przez łąki już nad wieczorem
Szło dwóch podróżnych z swoim przyborem.

Ruch im odrzucał odzienia boki,
To trząsł na laski wjęte tłomoki,
To przy pośpiechu obydwom społem
Z włosy dłuższemi igrał nad czołem.
Choć jednę drogę przed sobą mieli
To się złączyli, to znów zminęli,
Tylko różnica z téj jednéj miary,
Że jeden młody a drugi stary,
Tłumaczyć mogła milczenia stałość,
Lub wstręt tajemny albo nieśmiałość.
Choć już dwie godzin ze sobą byli,
Żadnego słowa nie zamienili.

Starszy, choć jeszcze niezgięty wiekiem,
Życiem złamanym zdał się człowiekiem;
Na jego twarzy pożółkłéj, długiéj
Wyryte były rozliczne smugi,
Tylko zapadłe błyskliwe oczy,
Jak dwa światełka wśród ciemnéj nocy
Paląc się, jakby już zgasnąć miały,
Dziwnym, rażącym ogniem gorzały.
Po jego pięści dużéj, kościstéj,
Po jego minie zbyt zamaszystéj,
Bez głębszéj myśli prędkiéj do czynu,
Znać było zaraz człowieka gminu,
Który się w życia wychował trudzie,
I w spółeczności skalanéj brudzie;
W téj spółeczności między innemi,
Co nie dźwigniona jeszcze od ziemi,
A wystawiona na wichry, słoty
Kryje zwierzęcość pod płaszcz ciemnoty.

Niezdolna sobie radzić w potrzebie
Tańczy na własnéj cnoty pogrzebie,
Myśląc, że więcéj już się nie splami,
Gdy ją pochowa, zdepcze nogami.

Młody, jak czyste ziarnko pszenicy,
Miał taki wyraz w tkliwéj źrenicy,
Tyle na licach lubego wdzięku,
Jakby dziś wyszedł z natury ręku,
Co nowe ludzi chowając plemię
Czasem którego spuści na ziemię,
Aby się dobre znowu przyjęło
Przez wypieszczone jéj arcy-dzieło.
Obok starszego w zewnętrznym szyku
To anioł czysty szedł przy grzészniku,
Nawet przy większéj badań pochodni
Szła jawna świętość przy skrytéj zbrodni.
Tyle w nich było widnéj różnicy,
Tyle w ich duszach pewnéj granicy,
Co się zbyt jawnie w nich malowała
Przez wszystkie naraz wyrazy ciała,
Że, choćby się kryć miał który wolę,
To wyrok nosił na swojem czole.

Już rozpuszczała noc zmroku włoski,
Gdy oba weszli do jednéj wioski,
Znać im nie obcéj, bo idąc daléj
Nikogo o nic nie zapytali.
Tylko psów, piesków cała gromada
Nie witając ich zewsząd ujada,

Co się domyślać każe z téj chwili,
Że znając wioskę w niéj tu nie żyli.

Starszy ku karczmie kierował kroki,
Wchodząc choć miał wzrost znacznie wysoki
Może z dawnego niegdyś nałogu
Wyprostował się na samym progu,
Poprawił odzież obcego kroju,
Że zdala przybył znać było z stroju.

Młody ku końcu wioski się skłania
Wśród ściszonego piesków szczekania.

W chatce, do któréj mierzył krok stały,
Dwie samotnice w izbie siedziały.
Starsza wrzecionem kręciła zręcznie,
Młoda nad stołem schylona wdzięcznie
Z książki, co teraz przed nią leżała,
Łagodnym głosem pilnie czytała.
I wtedy główkę podniosła miło,
Gdy knot w kaganku trza podnieść było.
Po dużéj formie, po druku starym
Dobrze wydatnym, papiérze szarym,
Po okładzinie w skórę wyprawną
Znać było jakąś kronikę dawną
— Zwykle skazaną dziś dla prostoty —
Lub księdza Skargi Świętych żywoty.

Przerwawszy chwilkę owo czytanie
Rzecze: „Matunio, moje kochanie!

Mam dzisiaj wielce przeczucie słodkie,
Słodsze nad wyraz, lecz zmienne krótkie,
Bo ledwo stanie w kwiecia odzieży
Upoi mile, to znów odbieży,
I inne myśli i niepokoje
Zlatują zkądsiś jak muszek roje.
Na to jéj matka czule odrzecze:
„Trza niedostatki znosić człowiecze,
Bośmy na drodze z ziemi do nieba,
Przeto nam wiele wytrzymać trzeba,
Wszystkie bijące na nas pokusy,
Co nam mięszają spokojność duszy,
Co się jak cienie wlekąc za nami,
Łudzą nadzieją — dręczą troskami,
A człeku tylko jeden cel drogi,
W którym zjednywa sobie stan błogi
Gdy wysługuje przyszłość szczęśliwą
Przechodząc życie drogą poczciwą“.

„Lecz mnie matuniu myśl indziéj żenie....
Choć twoje słowa nad wszystko cenię,
Chociaż mi z tobą tak słodko miło,
Żądam, by mi się więcéj ziściło.
Więc dla nas obu — słowem, cóż daléj —
Byśmy z Walusiem razem mieszkali;
By nam pomagał w polu i w domu,
Nie dał nad nami przewodzić komu;
Bo to sieroty każden napaśnie:
Jak w przeszłym roku zrobił nam właśnie,
Marcin nasz sąsiad; gdy się usadził,
Póty się z nami o miedzę wadził,

Póty się sprzeczał, i w sądzie porał,
Aż nam ją przecie w końcu zaorał".

„Nie dla nas Waluś, kochane dziécię!
On już czem inném będzie na świecie;
Chciałżeby twardą przewracać rolę
On, co lat tyle uczy się w szkole,
Co inszy sposób powziął dla siebie,
Nie nasz prostaczy, co w ziemi grzebie.
Jemu już inne widoki w głowie —
Trza się domyślić, choć sam nie powie."
Na te dowodne matuni słowa
Smutnie dziewczęcia opadła głowa,
A przez rąk palce, co twarz skrywały,
Sznurkami pereł łezki spływały.
Co gdy spostrzegła matka zraniona,
Pocznie ją tulić do swego łona,
I znów słodkiemi pocieszać słowy,
Żałując w sercu prędkiéj swéj mowy.

Jeszcze się ciche szerzyło łkanie,
Gdy posłyszały do drzwi pukanie.
Czy to pukanie znane już było,
Że się w Różyczki sercu odbiło?
Obtarłszy zwilgłe liczko z pośpiechem
W lot go ubrała cudnym uśmiechem.
Bo młodym we łzach wiele nie trzeba,
By do radości wrócili nieba,
Wszędzie nadzieja biegnie przed niemi,
Ścieląc im szczęścia kwiatki po ziemi,

Zawsze na pozór służąc im wiernie,
Choć pod listkami ukryje ciernie.
„To Waluś!“ krzyknie, i twarz zrumieni,
I jednym skokiem już u drzwi, w sieni.
Któż teraz wszystkich radość opisze,
I w gwar wesoły zmienioną ciszę?
To nie biesiada wśród mnóstwa ludzi,
Co gospodarzów i gości trudzi,
To nie bal pusty z zabaw udanych,
Albo reduta zamaskowanych,
Co chcąc się bawić kręcą i wiją,
Kończą na nudzie, bo serca kryją;
Tu bez przyboru za prostym stołem
Serca poczciwe cieszą się społem.
Stężałe mleko z chlebem razowym
Nasyca gościa pokarmem zdrowym,
I za wymyślne jadła, napoje
W miłém poczesném służy to dwoje.

Dziś w poróżnieniu z praojców cnotą
Już się nie zejdziem z dawną prostotą,
Wraz z szczęściem na jéj czerpaném łonie,
Chyba w odległe idąc ustronie,
Tam, gdzie natura w dziewictwie swojem
Jakkolwiek zbytków pogardza rojem,
To przecie wszystkie ludzi potrzeby
Do wdzięcznéj za trud odnosi gleby,
Kałem żądz zgubnych człeka nie maże,
Bo w pracy szczęścia szukać mu każe.
Nam już niestety tam zbyt daleko —
Przeszłość przed nami zamknęła wieko;

A my niezdolni znaleźć szczelinę,
By raz w tę złotą zajrzeć krainę
I do niéj sięgnąć po łup, a z łupów
Zaczerpnąć życia dla martwych trupów.

* *
*

Nazajutrz rano od domku w dali
Róża z Walusiem już z sobą stali.
A był to ranek śliczny, uroczy
Jak ich radością błyszczące oczy,
Świeższy i milszy nad ranki inne,
Jak ich dwa serca czyste, niewinne.
Waluś przed rokiem cichy i skromny
Nadspodziewanie dzisiaj wymowny;
Chociaż go częsty rumieniec zdradzał,
Śmiałym mu jednak być nie przeszkadzał.
Lecz kiedy przyszło rzec jedno słowo,
To milczał długo, kraśniał na nowo,
Słowo, co miało zrobić wyznanie,
I na jaw wydać serca kochanie.
Ten to go ogień zdawna rozgrzéwał,
Ale go na dnie uczuć ukrywał,
On mu do nauk dodawał siły,
By przez ich godność stawał się miły
Téj, którą niegdyś kochał jak dziecię,
Dziś najpiękniejszéj dziewczynie w świecie.
Już do wyrazu usta mu drżały,
I tkliwsze oczy w dziewczę patrzały,
Gdy mimowolnie ujrzał z daleka
Wczorajszą postać tego człowieka,

Z którym do wioski odprawił drogę.
Na widok jego wpadł w dziwną trwogę;
Wszystkie w nim żyły drgnęły od razu,
Jakby się przeląkł jego obrazu.
Lecz owa postać zdala się trzyma,
Stanąwszy jako posąg olbrzyma,
I tylko wzrok szle prosto ku stronie,
Gdzie dwoje młodych w miłéj uchronie
Raz pierwszy w życiu słodko zbliżeni
Stali na małéj łączki przestrzeni.
Lecz szybko owo wrażenie przeszło,
Jakoby widmo jawiąc się, pierzchło.
I znów miłości śliczna pogoda,
Śliczniejsza nad nią nadzieja młoda,
Tak młodzieńcowi serce rozgrzały,
Że w oku Róży utonął cały,
Nie krępowany żadną potrzebą,
W niem swoje szczęście widząc, swe niebo.
A dziewczę milczy w tkliwéj zadumie,
Nie śmie uwierzyć i nie rozumie,
Jednakby pojąć, uwierzyć rada
O czem jéj skrycie serce powiada.
Bo i któż w szczęście uwierzy snadnie?
Chyba szalony, gdy go napadnie
Ułudny obraz w gorączki chwili
Co mu działaniem rozum przesili.
Lecz z téj obawy i z tego lęku
Biorąc jéj dłonie do swoich ręku
Wywiódł ją młodzian, rzekłszy: „Czy zemną
Chciałabyś dzielić miłość wzajemną?
Właśniem ukończył wstępne nauki,
Teraz chcę nabyć lekarskiéj sztuki

Obok sztuk innych, a między niemi
Tych co sztukami zwią się pięknemi,
Bym się bezczynny światu nie dłużył,
Lecz mem mu szczęściem, mą pracą służył.
Gdybyś mi dała wzajemne słowo,
Tobym swe siły zebrał na nowo;
W zawodzie trudnym, na który wchodzę,
Tybyś me kroki wspierała w drodze
Swojéj miłości najsłodszą siłą."
„„Jeżelim tobie o tyle miłą,
Ze ci zachęty udzielić mogę,
To zważ, że biedna inną mam drogę
Prosta dziewczyna, inne zamęźcie,
Inne wśród swoich dla siebie szczęście.""

Chociaż te słowa sercu przeczyły
Łzy wymowniejsze wszystko odkryły;
I ten wstyd czysty, co ją zrumienił,
I w kwiat jéj miana cudnie ją zmienił
„Swoich! alboż ja jestem ci obcy,
Lepszy lub gorszy jak wiejskie chłopcy?
Jeślim się ucząc chciał być rozumny,
Nie przeto, bym był z nauki dumny;
Owszem z niéj ma myśl jaśniéj docieka
Prawéj wartości każdego człeka,
Ona mą miłość ku bliźnim budzi,
Którą rozciąga do wszystkich ludzi;
A co w mém młodem sercu posiała,
Czem umysł chciwy wiedzy zagrzała,
Jakie rozkoszne wznieca pragnienie,
To ten może mieć wyobrażenie,

Kto ją nad wszystko poznawszy miłą,
Pokochał święcie całą swą siłą,
I jak przed swoją świętą, wybraną,
Z najwyższą cześcią zgina kolano."

„„To takie piękne com usłyszała,
Żebym na skrzydłach słów tych leciała
Do owéj pięknéj i niepojętéj
Nauki ludzkiéj a twojéj świętéj;
Mnie tak ustawnie w samotnéj chwili,
Myśl różne rzeczy odgadnąć sili;
Biegnę z tą myślą w miłéj ułudzie
Dumać co też to zrobili ludzie,
Naprzykład kościół Boży z kamienia,
Co go tak krągłe łączą sklepienia
Jak gdy tulipan lekko ściśnięty
Niby otwarty, niby zamknięty;
Albo wysokich grabów wiązania
Kiedy je w lesie wiatr ponakłania
Posplata z sobą wraz ramionami
Jakby braciszków ze siostrzyczkami.

„„A te obrazy w świętych ołtarzach,
W których znać wszystko jak w ludzkich twarzach,
Jakby tam żywa kryła się dusza;
I kryć się musi, bo mnie tak wzrusza
Każden z nich miło, jakbym bez mała
Istnie w nich żywych świętych widziała!
Cóż gdy mi w głowie stanie w téj chwili,
Że te piękności ludzie zrobili,

Gdy może większe mogliby zrobić,
By ten świat Boży do koła zdobić . . . .
I gdy z matunią o tém mówimy,
(A co najwięcéj od ciebie wiemy)
To się tak często cieszymy społem,
Że opiekuńczym naszym aniołem
Stajesz się dla nas Walusiu drogi,
Gdy wnijdziesz w nasze ubogie progi.““

Jakby natchniona młoda dziewczyna
Mówi, umilka i znów poczyna . . . .
Oko jéj błyszczy łzą i zapałem
Miłością czystą i światem całem . . . .
A Waluś patrząc w lube zjawisko
Z ziemi podlata w Bóstwa siedlisko,
Słucha i bierze w duszę swą całą
Muzykę jéj słów, któremi brzmiało
Miejsce samotne w czarowne granie . . . .
I kiedy myślił, że już ustanie
Po wynurzeniu ulotnéj chwili,
Znowu do niego rzeknie najmiléj:

„„Czasem pod wieczór po dziennéj pracy
Lubię wylatać sobie jak ptacy,
Spojrzeć na miasta wysokie szczyty
Co wznosi krzyże w nieba błękity
Wieżyc kościołów takich spaniałych! . . .
Chciałabym patrzeć tam po dniach całych,
Aż serce bije i tchu nie staje!
Lecz prędko wracam, gdzie nasze gaje
Koło chateczek wonią liściami
A wracam do nich z radości łzami,

Nową im moję miłość ślubuję,
Przepraszam każde drzewko, całuję.
Bo myślę, że mnie Pan Bóg ukarze,
Jeśli się niemi gardzić odważę,
Jeśli tę naszę wioskę i chatkę,
I w nich nad wszystko kochaną matkę,
Opuszczę z myśli choćby na chwilę,
Gdzie mi Bóg dobry dał szczęścia tyle"".

I tu spuściła ciemne swe oczy.
Młodzian jéj ręce ujął ochoczy;
„A o mnie luba myślisz czasami?"
„„O to nie pytaj, ty zawsze z nami,
W każdéj godzinie, w każdéj rozmowie""
„Lecz proszę niech mi twa szczerość powie
Ze nie przyjmiecie drużbów do chaty,
Choćby młodzieniec piękny, bogaty,
Przesyłał kiedy o rękę prosić"

„„Ja ci nie mogę tego wygłosić,
Spytaj matuni"". „Ty wymów droga
Tu pod tem niebem w obliczu Boga,
Czy mimo przeszkód zechcesz być moją?"
„„Toć ja niczyją już, jedno twoją!
A nie wiem sama jak się to stało,
Że już dla siebie mam serca mało,
I prawie czuję jakby nie swoje,
Bo ono dawno całkiem jest twoje"".

„Moje — zawołał młodzian w zapale —
Już odtąd życia wzburzone fale

Bez skargi na los cicho popłyną . . . .
Lecz zrób mi błagam łaskę jedyną,
Bo czas zbyt długi leży przed nami,
Zaczém nas kościół złączy ślubami.
Tu, na tem drzewie Bogarodzica,
Jak gwiazda wszystkim ludziom przyświeca,
Tum ja chłopięciem modlił się nieraz . . . .
Mógłżebym starszy zapomnieć teraz,
Jak ją błagając w każdéj potrzebie,
Wszystkom po myśli jednał dla siebie . . . .
Ona to wasze serca skłoniła,
By z nich jak z źródła ta dobroć biła
Dla mnie sieroty, którą pojony
Dzisiaj się czuję uszczęśliwiony".

I poszli pod wiąz w dalsze ustronie,
Trzymając razem splecione dłonie,
Ofiarę z uczuć przed Stwórcą złożyć,
Za swe się szczęście niebu ukorzyć,
I kwiat miłości czysty, nietknięty,
Oddać w opiekę z najświętszych Świętéj,
Poprzysiądz wzajem — przed światem skrycie,
Że go strzedz będą przez całe życie,
Mimo burz żądzy, losu odmiany,
By myślą nawet nie był skalany.

Kiedy klęczący podnieśli głowy,
Patrząc w oblicze nieba Królowéj,
Toż i ta Pani słodko patrzała,
Jakby różami na nich rzucała . . . .

Czuli, widzieli, tak im się zdało,
Że kwiat ten cudny z świeżością całą,
Spuszczał się na nich puchy miękiemi,
Powierzchnią ziemi kryjąc przed niemi;
I do okoła, na dole, w górze,
Wszędzie im śliczne słały się róże.

* *
*

Gdy jeszcze klęczy młodzieńcza para,
A przy nich miłość, nadzieja, wiara,
Wiejące na nich niebiańskie tchnienia,
Wśród najczystszego dusz ich wzniesienia;
W chatce Janowéj zawsze tak głuchéj,
W któréjś dosłyszał bręczenia muchy,
Dziś się niezwykły odgłos rozchodzi,
Cisnąc się drzwiami, oknem wychodzi . . . .
Któż tam rozbrzmiewa te głuche ściany?
To ten podróżny przyszedł nieznany,
I ktoś z nim jeszcze; słychać z rozmowy:
A, to Antoni sąsiad Janowéj,
Człowiek sędziwy w latach, rozumie,
Surowy w swojéj poczciwéj dumie;
Znano go we wsi że w każdém słowie,
Dowodną prawdę święcie wypowie.

„Jam takiéj łaski nie potrzebował!
Niechby się, jak ja, w psiéj budzie chował...
Czem ma być dzisiaj lepszy ode mnie,
By się wynosił i szydził ze mnie?
Tego mi jeszcze niedostawało!
Czym wszelkiéj wzgardy wycierpiał mało

Od téj psiéj budy, kędy sierota,
Gdy w polu biły wicher i słota,
Wgrzebany w barłóg z głową, nogami,
Grzałem się zziębły psiemi piersiami.

„Rodzice moi, jak mi mówiono,
Pomarli z głodu — mnie wypędzono
Z komórnéj izby nazajutrz rano,
I w świat sierocie pójść mi kazano . . .
Szedłem nie płacząc nawet od bólu,
Wtedy trafiłem do budy w polu,
Gdzie uwiązany stróż na łańcuchu
Ujadał na mnie — lecz ja na brzuchu
Poczołgałem się ku niemu przecie;
On mnie powąchał, liznął po grzbiecie;
I tak się nasze instynkta zeszły
Że mi długie dnie z nim będąc przeszły.
W jesieni już psa wzięto do dwora,
I mnie żyć w polu nie była pora,
Sciskało zimno i głód dojmował;
Jam na to niedbał, tylko żałował
Z uczuć sierocych i lat niewinnych,
Psa przyjaciela nędz mych dziecinnych.
Gdzie i jak poźniéj znów się tułałem,
Pokąd do pracy sił nie nabrałem,
Długa opowieść i niepotrzebna;
Dość że zmarniałem jak płachta zgrzebna,
Do najpodlejszéj posługi brana,
I przez nikogo nieszanowana.

„Ja miałem serce, miałem i myśli
Jak drudzy ludzie, co na świat przyśli,
Abym jak oni świadectwo złożył,
Że i mnie na swój obraz Bóg stworzył.
Kiedym ze wzroku, słuchu, rozumu,
Poznał, czem jestem wśród innych tłumu,
Gdy mnie do pracy, wiedzy i Boga,
Wiodła tajemna natchnienia droga,
Myślałem sobie radzić zawcześnie;
Lecz byłem bez sił jak człowiek we śnie,
Co gniecion zmorą bezwładnie dyszy,
Póki téj walki kto nie usłyszy,
I nie obudzi z duszącéj męki . . . .
Ja nie uczułem przyjaznéj ręki,
Nikt mnie nie dźwignął, nie tknął życzliwie;
Żyłem więc jak mógł, żył rozpaczliwie.
A gdy odrzutkiem każdy się brzydził,
Jam wzajem cały świat znienawidził;
Nie znałem kogo zwać bliźnim, bratem,
Bo świat był dla mnie ojczymem, katem."

Tu ów podróżny zadrgnął w postawie,
Głowę opuścił, wsparł się na ławie,
Ciężką swą rękę złożył na stole,
Drugą mimochcąc powiódł po czole.

Antoni milczał podparty laską,
Janowa lice kryła zapaską;
I znowu cisza jakby czekano,
Co jeszcze więcéj usłyszeć miano.
A on po długiéj przerwie znów rzecze:
„Twarde jak kamień życie człowiecze,

A jako na niem stal kresy żłobi,
Niemi go jak chce, szpeci lub zdobi;
Tak na mem sercu ta stal żywota,
Ryła złość samą, gdzie była cnota,
I tak jéj wszelkie starła napisy,
Głębszemi niż grób, czarnemi kresy,
Że żadne oko spojrzawszy śmiało,
Nie pozna, by tu serce być miało".

Zamilkł wysilon. Zapadłe oko —
Co jakby w trupiéj czasce głęboko
Siedziało zgasłe — naraz wyskoczy,
I po przytomnych z gniewem potoczy.

„Boże jakże wy biedni jesteście"!"
Rzecze Janowa — i łzy niewieście
Zwilżyły jéj twarz smutnéj białości.
A łzy to były świętéj litości,
Których myśl ziemska z nikim nie dzieli;
Takiemi w niebie płaczą anieli
Nad słabym człekiem, gdy w grzechu błądzi,
Nad smutną duszą, gdy ją Bóg sądzi.

„O nie żalcie się nad moim losem"
Odmężniał naraz i silnym głosem
Jak kaznodzieja zawołał dumnie.
„Jeszcze się znajdzie niewinność u mnie!
Lecz to mnie dręczy, że już tak późno,
A jam tak zmarniał i żył napróżno,

Sam jeden w świecie, bez żony, dziatek,
Nawet bez Boga żyłem w ostatek.

„Powiedzcie matko memu synowi
Gdy o mnie spyta, żem ku lasowi
Poszedł na zawsze -- niech mnie nie szuka;
Że go znać nie chcę — jak on nieuka
Ojca swojego mógłby się wstydzić,
Zdala ominąć i nienawidzić;
O gdyby jeszcze nic był nie umiał,
Byłby mnie prostym sercem zrozumiał;
I mnieby ufność urosła błoga,
W jego pacierzu do tronu Boga.
Jabym w nim tłumił chytre umienie,
Co plami często szczere sumienie,
Pali, wygryza, bliźnim złorzeczy,
Bom ja bez książek zgłębił te rzeczy.
Przybyłem skrytym duchem wiedziony,
Po raz ostatni ujrzeć te strony!
Coś mnie tu ciągło — tom się i stawił,
Bym może dziecko pobłogosławił.
Lecz nie mnie myśleć o świętym czynie!
Co mi po wszystkiem — po własnym synie“.?

„„Przez Boga! toć się zmiarkujcie sami,
Bo was dotychczas zła mowa plami““
Rzecze Antoni i jak ksiądz siedzi,
Kiedy grzesznika słucha spowiedzi:
„„Zamiast przed Stwórcą uderzyć czołem,
Ze was opatrzył takim aniołem,

Matką nad waszym synem sierotą,
Że ją sam natchnął tak wielką cnotą,
Iż go chowała jak własne dziecię.
Co rzadko dzisiaj zdarzy się w świecie,
I rzadziéj znaleść drugiéj Janowéj,
Toż wy bluźnicie Bogu i onéj.
Co było, nie jest bo już minęło;
Od dzisiaj zacząć trza nowe dzieło,
Gdy poznajecie, że wprzód źle było,
Że się sumienie życiem zczerniło . . . .
A to go bielić pokuty łzami,
W słońcu pokory wszystkiemi dniami,
I tak go trzymać w delikatności,
By znów nabrało świętéj białości.
Ale wyrzekać cóż to pomoże?
Życie człowieka to srogie morze . . . .
Rodzina okręt a Bóg sternikiem
Co nad ułomnym czuwa grzesznikiem.
To — żeś na desce od dziecka płynął — .
Bóg tobą rządził, iżbyś nie zginął
Pomimo burzy, bijącéj fali,
Kiedy w okrętach insi zmierali . . . .
Boisz się syna, by ci nie szydził
I ojca swego nieuka wstydził;
Złe ci sumienie te widma stroi,
Co niewinności naprzód się boi,
Poznać w tém czarta wykręty liche,
Który cię zgubić chce przez swą pychę.""

„Łatwo wam prawić takie morały
Wam, którzy żywot prześliście cały

Jedną drożyną, zdawna deptaną,
I jak bydlęciu omackiem znaną;
Lecz mnie, gdy myślę wejść na tę drogę,
W głowie się mąci i wnijść nie mogę;
Już mi się serce kamieniem stało,
Lęka się jedno, by nie kochało,
Bo mu pragnione uczucia budzi:
Wzgardę ku ludziom, nienawiść ludzi".

Podczas téj mowy matka Janowa
Klęczy, modląc się, twarz w chustę chowa;
I tak gorącem błaganiem prosi,
Że przy niéj ziemia łzami się rosi,
A w to swą czułą modlitwą zmierza,
By Bóg nawrócił ojca Kaźmierza.

Już zprzed obrazu Bogarodzicy,
Powraca Waluś obok dziewicy,
Jak dwóch niebiańskich aniołow para . . . .
Tak w siebie czysta zdobi ich wiara! .
Zaledwie na próg weszli weseli,
Gdy Kazimierza w izbie ujrzeli . . . .
On na nich słupem zwraca swe oczy,
Na twarz mu zwiędłą barwa wyskoczy,
Serce kołata niezwykłém biciem,
Jakby się nagle żegnał już z życiem.

„Powitaj ojca, uchwyć za nogi,
Przyszedł do ciebie z dalekiéj drogi"

Rzecze Antoni — myśmy mu radzi —
I obu przeciw sobie prowadzi.
Na ten głos młodzian jak małe dziecię
Uklęknął przed tym, co mu dał życie,
Z wszystką miłością i czcią prawdziwą
Co go w téj chwili przyjęły żywo.

Tu wstyd Kaźmierza nagle ogarnie;
W duszy się budzą srogie męczarnie
Na owę świętą syna pokorę,
Któréj nieznając, bluźnił nie w porę.

Milczenie wszystkich było serc mową.
A młodzian klęczał z zwieszoną głową,
Jakby przeczuciem powstanie zwlekał,
A przeżegnania rodzica czekał.
W tem dłonie ojcu naraz zbezwładły,
Same na głowę Syna opadły,
Skoro ich związek dawno pryśnięty,
Spoił się nagle na łańcuch święty;
Gdy oba czuli jego ogniwo,
Obom się słowa wymknęły żywo:
Ojcze! ach synu! z rzewliwém łkaniem,
Te im najtkliwszem były witaniem.
Razem więc wszyscy jak pszczoły w ulu,
Gdy radość wzięła górę po bólu,
Brzęczyć przyjemnie poczną słowami,
Wymieniać uścisk z całowaniami . . . .
Ten tego chwyta, ten się ugina
Jak godząca się jedna rodzina . . . .

I długo jeszcze — przez dzionek cały,
Najserdeczniejsze rozmowy trwały,
A każda nową stwarzała radość,
Któréj dla wszystkich nie było zadość,
Aż gdy znużeni koło północy
Snu najmilszego ulegli mocy.

* *
*

Od owéj świętéj rodzinnéj zgody,
Czas swoim pędem leciał jak wprzódy,
Na skrzydłach wiatru na piersiach fali;
Z nim czyny ludzkie mknęły się daléj,
Znacząc za sobą niestarte ślady,
Dobra i złego równe przykłady.
O! czas jest płodną rolą ludzkości,
Nic w nim nie zginie z całéj przeszłości;
On wszystko wiernie ludziom powraca,
To co w nim wieków złożyła praca;
A gdy się z bytu swego wyzuwa,
Znów go człek do dzieł swoich przykuwa;
Czy to przez marną nicestwa trwogę,
Do wiecznych wspomnień robi mu drogę,
Czy z prawdą idzie, czy od niéj zbacza,
Nieśmiertelną mu bytność przeznacza.
Zbiegł więc czas szybko ni się zatrzymał
Ani na krótką chwilę zadrzymał,
Dwanaście razy widział jak słońce
Pocałowanie swoje gorące
Dawało ziemi a ona wzajem,
Płonąc roskosznie miłości rajem,

Za każdą wiosną płodnością matki
Cudne do koła roniła kwiatki . . .
A ludzie? ludzi też same cechy,
Długie cierpienia — krótkie pociechy,
Kropla miłości — obłudy morze,
Pycha w udanéj zwierzchniéj pokorze,
Śmiałość do złego a w dobrem trwoga
Chłód bliźni w sercu — miłość bez Boga.

Lecz wróćmy w naszéj wioski ustronie,
Gdzie piękna Róża na szczęścia łonie
W oczekiwaniu lub téż w spełnieniu
Pod liściem marzeń ukryta w cieniu;
Jak anioł czysty, skryty w obłoku
Żyje nieznana ludzkiemu oku;
A może dotąd, z wielą pospołu,
Z ślicznych jéj wdzięków garstka popiołu,
I liliowe pieszczone łono
Ziemia już skryła pod darń zieloną,
A jéj dobroci i uczuć szczątki
Błądzą po wiosce w tkliwe pamiątki.

Otóż i wioska — lecz gdzie ta chata,
Którą już stare zwątliły lata,
Słota i wicher pchnął do ruiny
I robak zwiercił w miałkie trociny...
Ta chata za wsią matki Janowéj
Cała majętność ubogiéj wdowy...
Już jéj nie ujrzy nikt z przechodzących
Ani z podróżnych, ani z żebrzących

Starców i kalek, gdy przed jéj progiem
Witano chlebem, solą i Bogiem...
Wspomnijmy kiedy w dobrem niedbali
Sąsiedzi głośno na nią sarkali
Niby z litości nad tą jéj cnotą.
Że się zajęła biedną sierotą,
Że siebie krzywdzi i swoją Różę,
Dając na chłopca co jeno może;
Mówili w oczy: on się odpłaci,
Gdy się z nauki kiedyś zbogaci,
Toć was nie pozna ani przytuli.
Choćbyście byli w jednéj koszuli:
On wam nie poda kawałka chleba.
„Nie dla niego ja robię — dla nieba!
Bóg wiedzieć raczy co z niego będzie,
Pan czy ubogi i gdzie osiędzie;
Może precz z dala w jakiéj obczyznie
Lub zwykle w mieście choćby w ojczyznie
Kędy sam zechce — mniejsza, — mnie miło
Że przecie coś się w życiu zrobiło,
Co Bóg przykazał z prawa swojego,
Miłuj jak siebie swego bliźniego.“
Temi Janowa ot wywodami
Zasłaniała się przed sąsiadami
Przez długie lata nie w jednéj chwili,
Co miasto pomódz jeszcze szydzili.
Lecz gdzież jéj chata ona i Róża
Waluś i Kaźmierz — czy na bezdroża
Wraz poszli wszyscy do obcéj ziemi,
I cóż się z niemi stało wszystkiemi?
Bo na tem miejscu jakby czarami
Dom piękny wyrósł z przyległościami,

I ogród wonny z różnych rzadkości
Drzew, krzewów, kwiatów cudnéj piękności...
A w domu ludzi chociaż nie wiele
Lecz wszystkim jedno sprzyja wesele...
Zajrzyjmy głębiéj co za rodzina
Mieści się tutaj — bo i dziecina
Swawoli w sieni z gałązką w dłoni,
Nią muszki ze ścian na pole goni.
A w bliskiéj izbie w wieku kobieta
Siedzi za stołem i książkę czyta,
Znać że nabożną bo skłania szyję,
Przyklęka albo w piersi się bije,
Błogosławiące wymawia słowa...
Ach to tu zacna wdowa Janowa.
Jakże jéj starość teraz upływa
W miłym spokoju, jakże szczęśliwa,
Bo na jéj twarzy jak astr jesienny
Świeży wdzięk wyrósł wielce przyjemny,
Co jako ten kwiat, chociaż przyblednie,
Długo się trzyma, długo nie więdnie.

O módl się rzewnie — w twojéj prostocie
Bóg ci dał więcéj niż innym w złocie,
Bo ci dał spokój, zadowolenie
I jak kwiat biały czyste sumienie!
O módl się teraz w ufnéj pokorze,
Bo obok dzieci tu żyjesz może —
Co rzadko matce zdarzy się w świecie —
Wszak ta maleńka, to Róży dziecię;
Tyś ją znów sobie wypiastowała
I słodycz z siebie w jéj ustka wlała,

Pewno i serca skarbnicę złotą,
Zbogacisz swoją pobożną cnotą.

Tuż druga izba patrzmy co mieści:
W niéj młoda matka z synkiem się pieści,
Co jak malina zarumieniona
Na swéj gałązce lekko spuszczona
Wisi ciężarem zdrowego ciała
U łona matki, dziecina mała.

Matką tą Róża w całym rozkwicie,
Z któréj jak z kwiatu wytryska życie
I puchem kwiatu umila całą...
Wraz życie duszy w oczach jéj grało...
To już z wejrzenia życie rozumne
Tkliwe w uczuciach a w myśli dumne,
By się zniżyć do błędu w czynie,
Stałe w zasadach, w każdéj godzinie.

Gdy na jéj ręku dziecię spoczywa,
Ona przez okno patrzy szczęśliwa,
Uśmiechem krasząc swe piękne lica...
I cóż tam widzi, co ją zachwyca?
Jakiś męszczyzna w pośród młodzieży
Równie jak oni w wiejskiéj odzieży
Nową budową domu kieruje,
Zachęca słowem, plany wskazuje,
Pośpiech doradza i sam wytrwały
Nie schodzi z pola przez dzionek cały,

Aż wraz z drugimi, kiedy z wieczora
Do wypoczynku nadejdzie pora...
To Waluś — dziś mąż w całem znaczeniu
Zbliżon do swoich w bratniem odzieniu,
Zbiżon miłością mędrca człowieka,
Głębiny którój nikt nie docieka,
Lecz każdy ufa słowu i czynom
Co działa ojcom, co działa synom.
Chociaż ukryty w wiejską sukmanę
Odróżniają go hołdy składane.
Jak nie ma Róża patrzeć tak miło
Gdy się jéj życie z jego spoiło?
Jak niema ścigać za jego cieniem
Uczuciem serca oka wejrzeniem,
Wspomnieniem, które zawsze ją wzruszy
Całą miłością ognistéj duszy?
Tem bardziéj teraz na nowo wszczęty
Grzeje jéj duszę ten ogień święty,
Przez ono wyższe męża uznanie
Nad pospolite wszystkim kochanie!
Słuszną téż dumą dzisiaj oddycha,
Pijąc podwójnie z roskosz kielicha,
Co najsłodszego niebo dać może
Za wypełnione rozkazy Boże.

Do téj gromadki z pracy tak żywéj
Należał jeszcze człowiek sędziwy,
Wyższy nad wszystkich głową już białą,
Lecz silny jeszcze postacią całą;
Znać w próżnowaniu człek niezaległy,
Za dwóch podawał wapno i cegły;

Praca zda się być jego żywiołem,
Choć w późnym wieku zbawczym aniołem,
Pokutną skruchą za przeszłe błędy
Którą u Boga wypraszał względy...
Lecz nie dla niego ta ziemska praca...
On jéj pożytkiem bliźnich zbogaca,
On miłe robi z niej poświęcenie
Zaspokajając dłużne sumienie...
Któż tu nie uzna nauki z krzyża
I w niéj nie uczci ojca Kaźmierza?
Co jakby nowym chrztem poświęcony
Zaczął żyć nowo sobie wrócony
Tem samem Bogu, całemu światu,
W nim wraz bliźniemu jakby brat bratu....
Niegdyś te oczy wstrętne rozpaczą
Łagodnym blaskiem czucie tłomaczą;
Ile w nich dzikiéj srogości było
Tyle w nie spojrzeć dzisiaj jest miło;
Niemi on teraz po bólach srogich
Patrzy na szczęście dzieci swych drogich,
Na bliźnich, niebo, gdzie się przybliża
Z miłym ciężarem swojego krzyża;
Patrzy na pamięć pozagrobową,
Bo chociaż spocznie siwą swą głową
I śmierć go weźmie tu z tego świata,
Żyć jeszcze będzie w dalekie lata...
Ta go myśl przeto do pracy zgina
Zapał podwaja każda godzina,
I żaden cięższy krok go nie trudzi,
Bo istnieć będzie w pamięci ludzi.

„Przebacz mi synu usty drżącemi
— Wyrzekł Kazimierz siadłszy na ziemi —
Przebacz mi dziecię, że słabość twoję
Winną wdzięcznością dzisiaj rozbroję,
Że, co mi zdawna na sercu cięży,
Wyznam przy świadkach téj tu młodzieży;
Mamże znów milczeć jakby niemowa,
Gdy nie dopuścisz przyjść mi do słowa.?

„„Wiem, drogi ojcze, co chcesz wynurzyć,
Lecz i tą razą nie mogę służyć
(I do kolan się ojcowskich chyli
Całuje ręce, oczom się mili,)
Oszczędź mi, proszę, tego wzruszenia,
Błagam o dalszą chwilę milczenia,
Bom i ja człowiek jak inni słaby,
A miłość własna ma swe powaby
Zgubne, zwodnicze, tych ja się boję,
Znając aż nadto ułomność swoję.""

„O nie usłucham dziecię kochane
Całując ze czcią syna sukmanę
I wilżąc łzami, które potokiem
Świat cały zćmiły przed jego wzrokiem...
Patrzaj młodzieży i bierz wzór święty,
Jam jego rodzic starością zgięty
Nie śmiem na kraju szaty bez łkania
Wycisnąć ojca pocałowania...
Niech młody rozum twój nie tłomaczy
Żem bałwochwalca — sam Bóg przebaczy

Temu zniżeniu ojca dla syna,
Boć w tem jest wszystkiem Boska przyczyı

„„Gdyś to sam wyznał, ojcze mój drogi,
Toż Bogu kornie słać się pod nogi,
A mnie pierwszemu paść na kolana
Dziękcząc za ciebie i chwaląc Pana,
Że mi cię wrócił, obok postawił
I przez twe ręce pobłogosławił.““

Jak dwa posągi uklękli społem
I wraz o ziemię uderzą czołem...
Bo do modlitwy Kazimierz skory,
Jak do zbawczego lekarstwa chory,
Drżał w każdéj chwili, by duszę koić,
Nie mogąc się nią dosyć upoić.

Obecna młodzież rzewnie, i trwożnie
Uklękła, mówiąc pacierz pobożnie...
Nad niemi słońce, stojąc wysoko,
Zdało się jakby wszechmocne oko
Widzieć, podziwiać w właściwéj porzę
Wielkość człowieka w jego pokorze.

*
* *

Ruch gwar niezwykły wioskę obchodzi,
Spieszą pod kościół starzy i młodzi,

Niewiasty, dzieci, chłopcy dziewczęta,
(Wszystko wesołe strojne od święta;)
Z dalszych okolic, na wozach, pieszo;
To znowu szlachta bryczkami spieszą,
Tworząc tłum w jeden wieniec ściśnięty;
A że był jeszcze kościół zamknięty,
Ta różnobarwna cała gromada
W kupki gwarzące wnet się rozkłada.

Byłoto w sam dzień aniołów Stróży . . .
Piękneż to święto! w nim dowód Boży,
Jak nas czystemi Bóg chce mieć zgoła,
Dając każdemu na straż anioła,
By w téj zdrad pełnéj i złudzeń drodze
Był mu natchnieniem, wstrzymywał wodze,
I tylko tam wiódł gdzie mu pójść trzeba,
Z kąd przyszedł — do swéj ojczyzny nieba.

Pod lipy cieniem od innych w dali
Kazimierz z starym Antonim stali
Radząc, co jeszcze szkółce potrzeba,
By nauczyciel miał w niéj dość chleba,
Dziatki naukę, duszną swobodę . . .
By na pożytek wyszła nie szkodę.

Ledwo ich postrzegł zaraz się zbliża
Dziedzic téj wioski a pan Kaźmierza,
Zbyt długo z kraju gdzieś oddalony,
Teraz przybyły w rodzinne strony.

To ty mój sługo, biorąc go w dłonie
I do swéj piersi tuląc mu skronie,
To ty, powtarza, z twym zacnym synem
Zaszczytnie stoisz przed całym gminem! . . .
Boć nowa szkoła przez was stawiona
A w gospodarstwie wieś podniesiona:
Te piękne sady, pszczółki i krowy,
Lasy posiane, na bagnach rowy,
Drogi wybite z prac waszych, bracie.
Dziś pono szkółki święcenie macie;
To istne cuda nieodgadnione . . .
Marzenia moje przez was ziszczone!
Bo wierz mi bracie, że będąc młody,
Tom samo myślił — tylko przeszkody
Stawały zawsze przeciw méj chęci . . .
Późniéj to jakoś wyszło z pamięci
Zwłaszcza gdy za dom ciągnęła żona
Do zagranicy przyzwyczajona,
Nęcąc mnie z sobą na obcą ziemię . . .
Tam ja dopiero uczułem brzemię
Zgryźliwych trosków — gdy głos tajemny
Szedł do méj duszy — głos zawsze rzewny,
Jak skarga ziemi gdzie się rodziłem,
Gdzie wszystko drogie pozostawiłem:
Krewnych, przyjaciół, dziedziczne łany
Nawet swój język, język kochany,
Którym chwaliłem stwórcę od mała
I którym matka synem mnie zwała,
Błogosławiła w dziecięcym stanie
Pierwsze mi dając nim przeżegnanie . . .

„Przyznaję panie — prawda że nieraz,
Paneś mi mówił, co mówisz teraz“

I Bóg pozwolił żeśmy zbłąkani,
Drogą bez celu upracowani,
Nic nie zyskawszy w obcym nam świecie,
Na ziemi ojców stanęli przecie.

Tu obom razem w rzewności miłéj
Łzy się mimo-chcąc z oczu puściły.
Kazimierz schylon do pana ręki
Za taką dobroć składał mu dzięki,
Że się z nim godząc, siłę w niem wspierał,
I przed nim swoją duszę otwierał.
Obu też razem przez wnętrzne tchnienie
Święte złączyło porozumienie.

No no, mój stary, rzekł pan ze łzami
Dobrze już wszystko — odtąd ja z wami!
I moja rada i dłoń w potrzebie . . .
Tak, tak, poświęcam całego siebie. —
Jużem wasz sąsiad — zawsze i wszędzie
Wspólna nas praca ożywiać będzie;
Ta nam rodzinną miłość odnowi . . .
No pójdź, ukaż mnie twemu synowi,
Swiatły to ma być lekarz, słyszałem
Zaraz na wstępie gdy przyjechałem.
Oby z nauki szczęśliwe plony
Spływały na pól naszych zagony
I światło z nauk stało się celem,
By człek człekowi był przyjacielem,
By raz zgłodzona ciemnoty wina
Nie szła jak klątwa z ojca na syna;

Niech nad nią światło trzyma pierwszeństwo
I swe rozsiewa błogosławieństwo.

Mówiących jeszcze doszedł z kościoła
Lekki dźwięk dzwonka, co na mszę woła;
Więc pospieszyli niemogąc skończyć,
Aby swe modły z wszystkiemi złączyć.

Po nabożeństwie z księdzem na przodzie
Szedł orszak cały w cichéj serc zgodzie . . .
Tak się wnet pojmą starzy i młodzi
Gdy ich ogólne dobro obchodzi.
Po krótkiéj chwili wstrzymano kroki . . .
Wszystkich szacunek przejął głęboki
Dla miejsca, które, rzec można śmiele,
Pierwszem czci miejscem jest po kościele . . .
Taka też nad nim tkwiła przestroga
„Ucz się, byś umiał pochwalić Boga.“
Na marmurowéj tablicy rżnięta
Praojcom naszym znana i święta,
Mieszcząca wszystko w słów krótkich treści,
Co w przeznaczeniu ludzkiém się mieści.

Po dokonanym już poświęceniu,
Przemówił kapłan w Boskiem imieniu.

Błogosławię was bracia kochani
Coście zostali chlubnie wybrani
Z pomiędzy innych za przewodników,
Swiatła — nakształt tych złotych świeczników,

Co na ołtarzach świętych wzniesione
Rzucają blaski na każdą stronę . . .
Nie będę liczył waszéj zasługi,
Bo ta nie na dziś, lecz na czas długi
Popłynie rzeką w liczne ramiona,
Z któréj pić będą przyszłe plemiona . . .
O! każde światła błogie nasienie
Jako ma z Boga swoje istnienie
I jak w dniu jego żyjemy radzi,
Tak nas do Boga wiernie prowadzi . . .
A i na kraj ten pamiętać trzeba,
Który z swéj łaski dały nam nieba.
Nasz to dom jeden, drogi, rodzinny
Nam darowany nie żaden inny;
Niech w nim przysporzym, niech go umieciem,
Pobielim ściany, potrzęśniem kwieciem;
Tedy w nim spocząć będzie nam miło
W obecnem życiu i pod mogiłą.

Ożyli wszyscy tą krótką mową
Biorąc do serca każde jéj słowo.
I szmer się szerzył zadowolenia
Ten skromny cichy szmer uwielbienia . . .
Każden obcemu z dumą wskazywał
Swoich rowiennych, których nazywał
Bratem Walentym, lekarzem słynnym,
Ojcem Kaźmierzem wszystkim uczynnym,
Siostrzyczką Różą, wioski królową,
Matką Janową, pobożną wdową.

Gdy się ściszono, na izby środek
Wystąpił skromnie jak dawny przodek

Typ piękny szlachty — co już od wieka
Drzemiąc na laurach malarza czeka,
By nie jéj złote pasy kontusze
Ale rycerskie malował dusze;
By nie zdrożności same lub wady,
Ale jéj miłość. gotowość zawdy
Dla dobra kraju umiał odwzorzyć,
Przy błędach złote serca otworzyć
Te wielkie serca zacne i dumne,
Które wodziły głowy rozumne
I nakłaniały do każdéj sprawy,
Gdzie przekonanie miało cel sławy; —
Wystąpił mówię mąż w wieku kwiecie,
Strój na nim z dawnym ślicznie się plecie
I przypomina przeszłość minioną
Gdy w narodowym stroju chodzono:
Z czarnego sukna kapota wcięta
I kamieniami drogiemi spięta
Nieodróżniała wiele postaci
Od zgromadzonych tam kmiotków braci;
Lecz kto zaglądnął w zwierciadło twarzy,
W oko błękitne, co dziwnie marzy
Czułą słodyczy wnętrznéj wymową,
Ten odgadł jego wyższość duchową . . .
Tak się poznaje orła w wyżynie,
Co lecąc nie wie gdzie w locie ginie
Co się uniosłszy w nieba przestworze
Gdzie tylko orli ród wznieść się może,
Od gniazda swego ziemskiego w dali
Zatapia skrzydła w słonecznéj fali.

Tym mężem, orłem wszak był Walenty
Dnia obecnego celem przejęty,

Wiedząc jak ten dzień i z nim się łączy,
Słów swych pieczęcią obrządek kończy:

„Nie na tém, cośmy do dziś zrobili
Przestać nam trzeba, rodacy mili,
Oprócz porządku, wsi ochędostwa,
Co nam zmieniły postać ubostwa
W dobry byt zwierzchni wprzód niedojżrany,
Bo nie ubogi kto dzierży łany,
Kto z ziemi z światu bogactwa rodzi
Za pracę, którą koło niéj chodzi . . .
Nam za pomocą wstępnéj nauki
Obok rolnictwa trza znać i sztuki
Te, co do duszy tak mówić umią,
A co zwierzęcą stronę w nas tłumią,
Co przez obrazy, dźwięki muzyki
Podnoszą ludzkość nad jéj stan dziki.
Co się pięknemi zowiąc sztukami
Piękna krainę tworzą przed nami,
Do niéj prowadzą w czarów zachwycie
Że z niéj już człowiek przez całe życie
Zstąpić nie może na ziemię kału
Pełen boskiego wskróś ideału.

Tam gdzie szczytnego piękna pojęcia
Nierozbudzono w człeku z dziecięcia,
Tam duch mimochcąc niepokojony
Grubéj zmysłowéj czepia się strony,
Wygnan na zawsze z pięknoty kraju,
Fałszywą drogą rwie się do raju.

Spojrzyjcie na tę pańską świątynię,
Ojców to naszych myśl po niéj płynie,

Jasna, wydatna, jakby mówili:
My wam ten piękny gmach wystawili
Dla chwały Bożéj ku jéj ozdobie;
Patrząc nań czyście uczuli w sobie,
Nasz trud, myśl wyższą i poświęcenie,
Że wam podobnie każe sumienie,
Przyczyniać naszym wasze staranie
Przez umiejętne piękna poznanie?

Słyszycie co dnia, jak w tym kościele
Brzmi organ miło, budząc wesele
We wszystkich duszach — modłów zachętę...
To ojców naszych brzmią pienia święte
Od pokolenia do pokolenia;
Te także mówią wam do sumienia,
Byście się, kształcąc, ludźmi widzieli,
Stwórcę najgodniéj chwalić umieli.

Wszędzie przyroda piękna tworczyni,
Nam łatwy przystęp do siebie czyni;
Z niéj możem czerpać, gdy wdzięki swoje
Codzień w odmienne obleka stroje
Zawsze godowe, nie wtedy zgoła
Gdy ma przepaskę z słońca u czoła
Księżyc na piersi, gwiazdy w koronie,
Lub majem wiosny wieńczone skronie;
Ale i wtenczas gdy otulona,
Białemi rąbki drzemie strudzona,
I na swe oczy przejźrzyste rzeki
Z kryształnych lodów spuści powieki;

Albo chmurami, kiedy się myje
Lub w lekką białą mgłę postać kryje;
Na każdém miejscu jejéj utwory
Stawiają piękna najwyższe wzory.
Wszystkie człowieka wyższe zdolności
Do czystéj zmierzać winny piękności.
Kto ją za swego uznał anioła,
Ten nic brzydkiego lubić nie zdoła,
Lecz ją odtwarzać będzie miał wolę,
Jéj każdą życia poświęci dolę;
Ona go wzajem czarem osnuje,
Że równie pięknym sam się uczuje
Tym pięknym, którym jest Boże dziecię
Jak go stwarzając Bóg chciał mieć w świecie.

Na dane hasło młodzież dorodna,
W oczach wesoła, w ruchach swobodna,
Codziennéj pieśni choć treści krótkiéj,
Chórem śpiewała następne zwrotki:

Śpiew.

My kwiat dzisiaj, późniéj owoc na rodzinnéj ziemi,
Pożytecznym jéj owocem dojźreleć pragniemy,
Chęcią naszą miłość pracy, z któréj dobro płynie,
Miłość nauk, obok których szczęście nas nie minie.

Bóg dał rozum człowiekowi, jako duszną rolę,
Lecz wyplenić z niéj rozkazał chwasty i kąkole;

Umiejętność plewić uczy, a rozum siać cnotę,
Byśmy w czasie dojrzałości mieli żniwo złote.

Dłoń do dłoni, łańcuch pracy niech nas z sobą wiąże,
Jedni drugim pomagajmy, a Bóg dopomoże.
Ptastwo w stadzie szybciéj leci, pszczółka z pszczółką
(w parze,
Nie jednemu lecz nam wszystkim Bog pracować każe.

Miła praca, słodka praca, z niéj sączą się miody,
Sławi mędrca jak prostaka, zbogaca narody,
Przyrzekamy od téj chwili nie zrażać się trudem,
Byśmy byli oświeconym i szczęśliwym ludem.
